

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

**WYCZINY
ROCAMBOLE'A**

część pierwsza



**Tom
7**



Ruda Śląska 2021

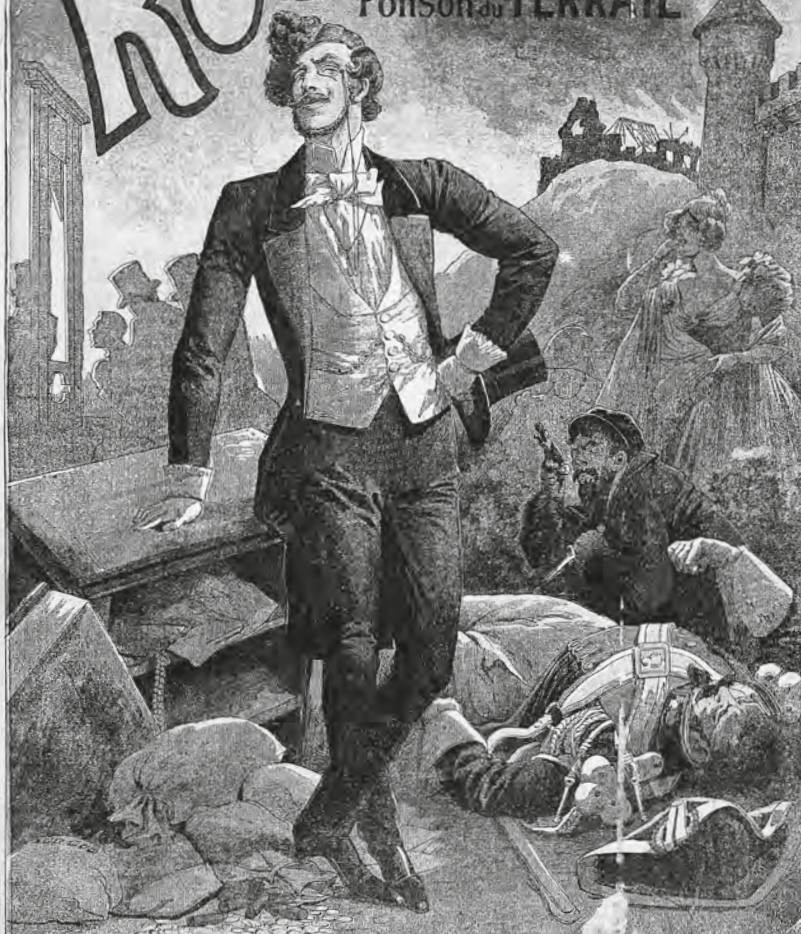
ISBN 978-83-66268-22-7 (całość)

ISBN 978-83-66268-71-5 (część siódma)

LES DRAMES DE
PARIS

ROCAMBOLE

PAR
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT

De Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1^{re})

N° 1

Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Rocambole



Wyczyny Rocambole'a
część pierwsza



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

[Kup książkę](#)

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

Wyczyny Rocambole'a

część pierwsza



Przełożył
i przypisami opatrzył
Andrzej Zydorczak

Wydawnictwo
JAMAKASZ
Ruda Śląska 2021

[Kup książkę](#)

Osiemdziesiąta piąta
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ

Siódmy tom kolekcji
„Rocambole”

Tytuł oryginału francuskiego: *Les exploits de Rocambole*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2021

30 ilustracji, w tym 30 kart tablicowych kolorowych: Louis-Charles Bombled,
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Kinga Ochojska

Skład: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2021

ISBN 978-83-66268-22-7 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-66268-71-5 (tom 7)



Wydawnictwo JAMAKASZ

www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2021

[Kup książkę](#)

Hiszpanka



Rozdział I

Przed burzą



Francuski statek handlowy „Mouette”¹, odbywający rejs z Liverpoolu do Hawru, płynął z prędkością dziesięciu węzłów².

– Pomyślna pogoda, dobry wiatr w plecy! – mruknął z zadowoleniem kapitan, przechadzając się po pokładzie statku i posyłając ku niebu spirale niebieskiego dymu z cygara. – Gdyby to utrzymało się jeszcze ze dwanaście godzin, jutro wpłyniemy do portu w Hawrze, którego „Mouette” nie widziała od czterech lat.

– Naprawdę, kapitanie, od lat czterech nie widziałeś Francji?

Takie pytanie zadał jeden z podróżnych, który również spacerując po pokładzie, ale idąc w przeciwnym kierunku, spotkał się twarzą w twarz z kapitanem i usłyszał jego okrzyk.

– No, sir – odparł kapitan po angielsku, co należy przetłumaczyć: „Nie, panie”.

Chociaż pytanie zostało skierowane do niego po francusku, kapitanowi jednak można było wybaczyć odpowiedź w języku brytyjskim, jeśli zobaczyłoby się osobnika, który przyszedł nawiązać z nim rozmowę.

Był to młody dwudziestosześcioletni młodzieniec, średniego wzrostu, o blond włosach, przyjemnej powierzchowności, z miłą twarzą, ale przykrytej maską chłodnej obojętności, cechującą wszystkich synów wyniosłego Albionu³. Miał na sobie ubiór, jaki zwykle noszą Angolicy w podróży: obcisłe pantalon⁴ w dużą szaro-czarną kratę, szkocki pled, owinięty wokół rudawego palta z obszernymi kieszeniami, stożkową czapkę z długimi wstążkami spływającymi na ramiona,

¹ *Mouette* (fr.) – Mewa.

² *Węzeł* – miara prędkości jednostek morskich, równająca się jednej mili morskiej (1852 m) na godzinę.

³ *Albion* – nazwa wyspy Wielka Brytania, spotykana u autorów starożytnych; sens nazwy nie jest pewny, najczęściej próbuje się ją wiązać z kredowymi, białymi (łac. *albus*) wzgórzami Dover; nazwa Albion była szczególnie popularna w okresie romantyzmu, obecnie używana w znaczeniu poetyckim lub przenośnym.

⁴ *Pantalon* – spodnie.

a przy sobie torbę podróżną, przy której zwisały: słownik francusko-angielski, duża luneta, etui z cygarami i mała manierka napełniona rumem. Ponadto na swym lewym przedramieniu niósł wielką księgę, to odwieczne *vademecum*⁵ każdego angielskiego podróżnika.

– Och! – powiedział z lekkim akcentem, który zdradzał wyspiarza, ale bardzo poprawną francuszczyzną. – Może pan zrezygnować z mówienia do mnie po angielsku, kapitanie. Każdą zimę spędzam w Paryżu.

Kapitan uklonił się.

– Zatem – mówił dalej młody Anglik – powraca pan z Australii lub Ameryki Południowej?

– Powracam z Chin, sir.

– I pochodzi pan z Hawru?

– Jestem urodzony w Ingouville⁶.

– Sądzi więc pan, że jutro wpłyniemy do portu?

– Jeżeli nie przydarzy się coś złego lub szkwał⁷.

Rzekłszy to kapitan, skierował swą lunetę po kolei w cztery strony świata.

– Niebo jest błękitne jak jezioro utworzone z indygo⁸. Wydam rozkazy memu zastępcy i położę się spać. Już szósta wieczorem. Ubiegłej nocy pełniłem wachtę⁹ i padam ze znużenia. Dobranoc, sir Arthurze.

– Dobranoc, kapitanie.

Kapitan „Mouette” i młodzieniec, którego nazwał sir Arthurem, uklonili się i rozeszli. Pierwszy wydawał rozkazy zastępcy, drugi pozostał na pokładzie i zamyślony, wsparł się łokciem o parapet¹⁰.

– Słowo honoru! – szepnął, kierując spojrzenie ku południowej stronie horyzontu, oświetlonej blaskiem księżyca w pełni. – Nie jestem

⁵ *Vademecum* (łac. *vade mecum* – pójdz ze mną) – zbiór podstawowych informacji z danej dziedziny, najczęściej o charakterze praktycznym, wydany w formie drukowanej; kompendium, podręcznik, przewodnik.

⁶ *Ingouville* – do 1853 roku przedmieście Hawru; może też chodzić o miejscowość (i gminę) we Francji, w regionie Normandia, w departamencie Sekwana Nadmorska; aby nie mylić jej z przedmieściem Hawru, jest też nazywana Ingouville-sur-Mer.

⁷ *Szkwał* – gwałtowny wzrost prędkości wiatru; może osiągać do 9 stopni w skali Beauforta; trwa krótko, do kilku minut, może nieść ze sobą śnieg lub deszcz; nawałnica.

⁸ *Indygo* – kolor niebieski, ciemnobłękitny.

⁹ *Wachta* – tu: czas, w ciągu którego jedna zmiana załogi pełni służbę na statku.

¹⁰ *Parapet* – lita płaska poręcz obiegająca pokład statku ponad wierzchnią częścią burty.

ani sentymentalny, ani poetyczny, zawsze miałem niezłą pogardę dla tych, którzy mówią o cierpieniach wygnania, o urokach odległej i upragnionej ojczyzny, a jednak serce uderza mi silnie na myśl, że jutro będę w Hawrze. Jakież to szaleństwo! Miałbym zmienić się w Anglika, dżentelmena czystej krwi, interesującego się wyścigami w Epsom¹¹, powieściami Charlesa Dickensa¹², piszącego małe artykułiki w dzienniku swego hrabstwa i marzącego o poślubieniu jakiejś chimerycznej miss¹³ o czerwonych ramionach, niebieskich oczach, włosach jak marchew, powracającego z trzeciej podróży dookoła świata? Nie, nic z tego! Serce mi bije, ponieważ jutro będę w Hawrze, a Hawr jest jedynie o pięć godzin drogi oddalony od Paryża...

Sir Arthur wymówił to ostatnie słowo z całym wzruszeniem syna, który cicho wypowiada imię swej matki.

– Paryżu! – ciągnął. – Ziemia odważnych i silnych żołnierzy i myślicieli. Paryżu! Ojczyzna wszystkich tych, którzy mają w sercach iskry dominacji, a w mózgu błysk geniuszu... Spędziłem cztery lata, owinięty w tej angielskiej mgłę, której wilgotny uścisk kończy się śmiercią. Podczas tych czterech lat nie było godziny, minuty, w których nie widziałbym przed sobą jakby w niebiańskim olśnieniu tego nocnego albo jaśniejącego w słońcu Paryża. To Eldorado¹⁴, które zaczyna się w Tortoni¹⁵, a kończy w Lasku Bulońskim¹⁶ i ukazuje w słońcu Pól Elizejskich

¹¹ *Epsom* – miasteczko w hrabstwie Surrey w południowej Anglii, obecnie przedmieście Londynu, miejsce najslawniejszych i najważniejszych wyścigów konnych w Wielkiej Brytanii, urządzanych od 1661 roku, doroczne gonitwy od 1779 roku (Oaks Derby), na dystansie półtora mili.

¹² *Charles Dickens* (1812-1870) – znakomity angielski pisarz, autor wielu powieści, głównie obyczajowych; występował przeciwko niesprawiedliwościom społeczeństwa brytyjskiego, często w sposób satyryczny; najbardziej znane dzieła: *Klub Pickwicka*, *David Copperfield*, *Oliver Twist*.

¹³ *Miss* (ang.) – panna.

¹⁴ *Eldorado* (El Dorado) – legendarna kraina pełna złota i drogich kamieni, najczęściej umiejscawiana zwykle gdzieś w dorzeczu Orinoko lub górnego biegu Amazonki; w przenośni raj, kraina dobrobytu; miejsce upragnione, najlepsze do prowadzenia jakichś działań, badań, obserwacji.

¹⁵ *Tortoni* – kawiarnia w Paryżu, na bulwarze des Italiens, ciesząca się popularnością w XIX wieku, także ze względu na pierwsze lodziarnie; bywał w niej Ponson du Terrail.

¹⁶ *Lasek Buloński* – park na zachodnim skraju Paryża, na miejscu dawnych królewskich terenów łowieckich, Ludwik XIV udostępnił go wszystkim, stał się popularnym terenem wypoczynkowym; jego powierzchnia to 846 hektarów.



swoje konie i ekwipaże¹⁷, wprost usiane młodymi, eleganckimi i pięknymi kobietami, jakich daremnie by szukać na reszcie ziemi.

Sir Arthur westchnął i kontynuował swój monolog:

– Spędziłem cztery lata w Londynie, uprawiając cnotę, tak jak mieszczanin z Le Marais¹⁸ uprawia doniczki z rezedą, żyjąc skromnie ze swych dziesięciu tysięcy liwrow¹⁹ renty, nie mając nawet konia wierzchowego, stołując się na mieście, idąc wieczorem wypić filiżankę herbaty u kupców z City, którzy wszyscy zerkali na mnie, chcąc zdobyć mnie dla swojej córki... Jeszcze rok, a sir Arthur, anglo-italski dżentelmen poślubiłby na poważnie miss Annę Perkins albo wdowę, mistress²⁰ o nieznanym nazwisku, został prawdziwym mieszczuchem, mieszal się do wyborów, uczestniczył w sprzeczkach na *meetings*²¹ i stał się wiceprezesem jakiegoś towarzystwa wstrzemięźliwości. Na szczęście sir Arthur przypomniał sobie, że niegdyś był wicehrabią de Cambolh, potem markizem don Inigo de los Montes, że przewodniczył nieistniejącemu Klubowi Sług Serca²² i że jego nieszczęsny mistrz, sir Williams, przepowiedział mu świetną przyszłość...

Po tych ostatnich słowach Rocambole, gdyż był to nasz dobry znajomy, opuścił pokład i szedł do swojej kabiny.

– Coś takiego! – rzekł, zamykając się w tym pokoiku mającym sześć stóp kwadratowych, który był lokum pasażera pierwszej klasy. – Nie wystarczy powiedzieć sobie pewnego ranka: nie jestem stworzony do życia za dziesięć tysięcy franków renty jak cnotliwy mieszczanin. Moja

¹⁷ *Ekwipaż* – tu: lekki pojazd konny.

¹⁸ *Le Marais* (z fr. marais – bagna) – dzielnica Paryża na północnym brzegu Sekwany, na terenie 3. i 4. dzielnicy, określana tą wspólną historyczną nazwą; znajduje się w trójkącie między Centrum Pompidou, placem Bastylli i placem Republiki; pierwotnie było to zielone przedmieście Paryża, gdzie swoje posiadłości rolne mieli tu templariusze (np. twierdzę Temple); dzielnica rozkwitła na przełomie XVI/XVII wieku, gdy Henryk IV miał tu swoją główną siedzibę; przyciągnęła ona w te rejony arystokrację, która zaczęła tu budować swoje posiadłości; okolica ta opustoszała jednak ponownie już pod koniec XVII wieku, gdy siedziba królów Francji została przeniesiona do Luwru; dawne pałace i siedziby arystokracji przejęli drobni kupcy i miejska biedota.

¹⁹ *Liwr* – dawna srebrna moneta francuska dzieląca się na 20 sou i 240 denarów.

²⁰ *Mistress* (ang.) – pani, tu w odniesieniu do właścicielki zajazdu.

²¹ *Meeting* (ang.) – więc, zebranie publiczne wielu osób.

²² *Klub Sług Serca* – zbrodnicza organizacja założona przez sir Williamsa, wokół której toczy się akcja poprzedniej części cyklu *Rocambole* (tomy 3-6), noszącej właśnie tytuł *Klub Sług Serca*.

ambicja potrzebuje rozległej sceny Paryża, koni czystej krwi, kochanek o blond włosach i małego pałacu. Trzeba pomyśleć, co należy zrobić, by mieć to wszystko, i to w tym bardziej niż kiedykolwiek odczuwam stratę mojego czcigodnego profesora sir Williamsa...

Rocambole uznał za stosowne lekko westchnąć, traktując to jako mowę pogrzebową skierowaną do sir Williamsa, bez wątpienia nadzianego na rożen i od dawna zjedzonego przez dzikich z ziem południowych. Następnie usiadł przy jedynym stole w swojej kabinie, gdzie rozłożone były różne papiery, a wśród nich mały notes, którego każdą kartkę pokrywały odręcznie skreślone znaki.

Wziął go, otworzył i wydawał się chcieć użyć całej swojej uwagi i całej swojej inteligencji, aby rozszyfrować i zrozumieć dokładne znaczenie tego delikatnego i ściśniętego pisma, którym strony były wypełnione, a które było tajemniczym nagromadzeniem liter i cyfr. Był to notes, który Rocambole znalazł pod płótnem starego rodzinnego portretu w zamku de Kergaz, dzień przed swoim wyjazdem.

– Niech diabli porwą sir Williamsa i jego hieroglificzny język – szepnął po kilku minutach zamyślenia. – Od czterech lat nadaremnie szukam klucza do tego pisma i wiem tyle samo co pierwszego dnia. Niestety, muszę stwierdzić, że sir Williams posiadał dwa pisma, jedno mi znane, przy pomocy którego tajemnice mogłem odczytywać, w które mnie od dawna wprowadzał, drugie znane tylko jemu. Notatnik, gdzie na każdej stronie ujawnia się geniusz mojego biednego mistrza, jest pełen cennych dokumentów, doskonałych wskazówek, zawiera punkt wyjścia do kilkudziesięciu spraw. Niestety, brakuje mi ostatniego klucza do zamka, tego, który uruchamia tajemniczą sprężynę. Tak więc jestem w sytuacji człowieka, któremu można by powiedzieć: „Walizka pełna złota jest w Londynie, w domu, na pierwszym piętrze, w gabinecie od strony ulicy. Odszukaj ją, a my ci ją damy”. Niestety zapomniano podać mu nazwę ulicy i numer domu... Ach, sir Williams był ostrożnym człowiekiem. Miał jedno pismo dla czynów, drugie dla nazwisk i dat. Oto, co tu na przykład przeczytałem: „Jest w Paryżu pałac przy ulicy...”. Nazwa ulicy jest napisana w tym drugim tajemniczym języku, którego zupełnie nie rozumiem.

Po krótkiej przerwie mówił dalej do siebie:



– Ten pałac jest zamieszkały przez markizę i markiza de... – nazwisko nieczytelne – i jego córkę. Markiz ma sześćdziesiąt lat, markiza pięćdziesiąt, córka siedemnaście. Rodzina jest bogata, gdyż mają sto tysięcy liwów renty. Markiz ma syna, który może mieć około dwudziestu czterech lat. Ten syn w wieku dziesięciu lat zaokrętował się jako chłopiec okrętowy²³ na angielski statek Kompanii Indyjskiej²⁴. Od tamtej pory już się więcej nie pojawił. Umarł czy żyje? Tego markiza nie wie. Tylko jej mąż mógłby coś powiedzieć o losie biednego dziecka, a on może zabierze tę tajemnicę ze sobą do grobu, podobnie jak sekret zachowania się tej bogatej i utytułowanej rodziny, która zgutowała swemu jednemu spadkobiercy tak ciężki i nieszczęśny żywot chłopca okrętowego. Owa rodzina, żyjąca w ukryciu w głębi swojego pałacu, nie widuje nikogo. Markiz pozostaje ponury i milczący. Jego żona ma nikłą, ale żarliwą nadzieję, że pewnego dnia znowu zobaczy swego syna. Gdyby powrócił, otrzymałby po śmierci ojca siedemdziesiąt pięć tysięcy liwów renty, ponieważ w rodzinie de... mężczyźni otrzymują jedną czwartą więcej. Można by więc...

Teraz znowu pojawiło się to zagadkowe pismo i stawalo się niezrozumiałe dla posiadacza zapisków sir Williamsa.

Ewidentnie ten, dla kogo ten pierwszy rodzaj pisma, który młodzieniec potrafił rozszyfrować, był bardziej bliski, posługiwał się drugim tylko w porozumieniu z samym sobą. Ponadto było ono bardziej złożone niż tylko ze względu na nazwy, daty i najodważniejsze przemyślenia.

Rocambole odsunął notes, mocno zniechęcony.

– Przeklęty sir Williams – wykrzyknął. – Otóż widzę, że jest jakaś markiza wyczekująca syna, który nie powraca. Ma córkę i sto tysięcy liwów renty. Nie znam jednak nazwiska tej markizy, ulicy,

²³ *Chłopiec okrętowy* (junga) – młody człowiek przysposabiający się do zawodu marynarza, początkujący żeglarz, praktykant na statku.

²⁴ *Kompania Indyjska* – spółka powstała w 1600 roku z inicjatywy kupców angielskich pod nazwą „Gubernator i Kompania Kupców z Londynu handlujących z Indiami Wschodnimi”, zatwierdzona przez królową Elżbietę I 31 grudnia 1600 roku; jej pierwszą siedzibą był Surat, od 1687 roku Bombaj; początkowo zajmowała się handlem z Indiami, później przystąpiła do podbojów i podporządkowywania sobie państw indyjskich; rozwiązana w 1858 roku po powstaniu sipajów, jej posiadłości przejęła korona brytyjska.

przy której zamieszkuje i jak z tej sprawy wyciągnąć tyle, ile się da... Do licha! – dodał. – Już wiem, co należałoby zrobić... Można by się przedstawić jako syn markizy, gdybym wiedział tylko, jak się nazywa, gdzie mieszka i jakie było imię tego jej syna, który zapewne już nie żyje... Na nieszczęście tego nie wiem, a sir Williams zabrał tę tajemnicę do Australii.

Rocambole ponownie się zamyślił. Podeszedł do luku²⁵, który służył za okienko jego kabiny.

– Biedny sir Williams – powiedział do siebie – taki wspaniały geniusz, a taki pechowy! Niesamowite pomysły i brak szczęścia. Zawsze znajdował drogę do sukcesu i nigdy go nie osiągał. Och, gdybym to ja posiadał geniusz sir Williamsa!

Rocambole, który zakończył swój monolog nowym westchnieniem, nagle został wyrwany ze swych rozmyślań przez niezwykle hałas, jaki rozległ się w korytarzu.

– Wszyscy na pokład! – krzyczał nakazującym i mocnym głosem kapitan.

„Ho! ho! – pomyślał Rocambole. – Kapitan opuścił mnie godzinę temu, by udać się do spania, a teraz znów jest na nogach i zwołuje całą załogę... Co to wszystko może znaczyć?”.

Rocambole wyszedł z kabiny i udał się na pokład. Kapitan był już na stanowisku dowodzenia, wydając rozkazy. Marynarze zwijali szybko żagle, pasażerowie wydawali się zaskoczeni, bowiem morze było spokojne, niebo pogodne, utrzymywała się piękna pogoda... Przynajmniej to mógłby przysiąc szczer łądowy...

Pierwszą osobą, którą spotkał Rocambole i którą poprosił o wyjaśnienie tego niezwyklego zachowania zakłócającego ciszę nocną na statku, był młody blondyn, szczupły, wysoki, w marynarskiej kapocie, mający na swej woskowanej czapce wąską srebrną naszywkę, co wydawało się wskazywać na oficera.

Pośród tych wszystkich przestraszonych wokół twarzy, jego była spokojna, a nawet uśmiechnięta. Z flegmą prawdziwego żeglarza skierowywał lunetę w stronę horyzontu.

²⁵ *Luk* – zamykany otwór w pokładzie statku lub jego nadbudówki, służący do ładowania i wyładowywania towarów, schodzenia w głąb kadłuba statku, oświetlania i wietrzenia pomieszczeń pod pokładem.



– Przepraszam, czy nie mógłby mi pan wyjaśnić, co to wszystko znaczy? Dlaczego wzywa się nas na pokład, dlaczego zwijane są żagle... – zapytał Rocambole, a wskazując na około tuzin pasażerów, dodał: – I co takiego nam grozi, że wszyscy ci ludzie mają miny delikwentów, którzy idą na tortury?

Rocambole zadał pytanie w dobrym angielskim.

– Panie – odparł młody człowiek w tym samym języku – nadciąga szkwał.

– Szkwał?

– Tak, to znaczy nawałnica.

– Coś takiego! Na niebie nie ma ani jednej chmurki.

– Dla pana, lecz nie dla nas, którzy jesteśmy ludźmi morza... Proszę wziąć moją lunetę i popatrzeć.

Rocambole wziął lunetę i popatrzył.

– Czy spostrzega pan tam, na zachodzie – ciągnął oficer – ten mały szarawy punkcik, podobny do żagla?

– Widzę – potwierdził Rocambole.

– Dobrze! Za godzinę ta mała chmura obejmie całe niebo i zamieni tę jasną i świetlistą noc w ciemną i ponurą. Z jej boków wystrzelą pioruny i narodzi się nawałnica, a to morze, spokojne jak wody jeziora, nagle stanie się wściekłe: bałwany okryją się pianą, nasz statek zatańczy na ich grzebieniach jak nieszczęsna skorupka orzecha i wystarczy jeden kawałek żagla, który zapomni się ściągnąć, by spowodować, że zaczniemy tonąć.

Młodzieniec wyjaśniał jasno, z zimną krwią doświadczonego żeglarza.

– Jak to, panie?! – zapytał Rocambole. – To wszystko nam przepowiada ta mała nędzna chmurka?

– Panie – odrzekł młodzieniec, uśmiechając się. – Jestem żeglarzem, a żeglarze tak dobrze znają niebo, że prawie nigdy się nie mylą!

– Zatem musimy przetrzymać burzę?

– I do tego straszną, panie.

– Faktycznie znajdujemy się w niebezpieczeństwie?

– Być może.

– Do diabła! – mruknął Rocambole, któremu choć był odważny, średnio uśmiechało się spanie na algach²⁶.

²⁶ *Algi* (głony) – duża, zróżnicowana pod względem filogenetycznym grupa samodzielnnych, roślinopodobnych i roślinnych organizmów, niekiedy niespokrewnionych



– Zatem musimy przetrzymać burzę?

[Kup książkę](#)

– Mój Boże – mówił dalej młody marynarz z uśmiechem pełnym melancholii – my, ludzie morza, jesteśmy przyzwyczajeni do czynienia ofiary z naszego życia, które bierzemy zawsze z najgorszej strony. Może też być tak, że przesadzam w ocenie sytuacji... zresztą kapitan tego statku, którego jestem tylko pasażerem, zna swoje rzemiosło, a jego załoga jest dobra... A zresztą – dodał, podnosząc rękę ku niebu – Bóg jest wielki oraz dobry i jednym tchnieniem uspokaja nawałnicę...

– Och, więc pan jest tylko pasażerem? – spytał Rocambole.

– Tak, jestem oficerem marynarki Kompanii Indyjskiej.

Ta odpowiedź sprawiła, że Rocambole drgnął. Przypomniawszy sobie uwagi z notesu sir Williamsa.

– Udaje się pan do Hawru? – pytał dalej Rocambole.

– Nie, panie, podążam do Paryża, gdzie mam matkę i siostrę, których nie widziałem od osiemnastu lat... – odparł młody człowiek i skończył nagle emocjonalnie: – Od dnia, kiedy jako chłopiec okrętowy w wieku dziesięciu lat wypłynąłem na statku Kompanii Indyjskiej.

Usłyszawszy ostatnie słowa, Rocambole zapomniał o zbliżającej się burzy i ewentualności rozbicia statku, zapomniał o całym wszechświecie, by z całą żarłocznością popatrzeć na tego człowieka, którego miał przed sobą. Może nigdy przez całe swe życie, pełne tylu najrozmaitszych przygód, Rocambole nie doznawał emocji podobnych do tych, jakie nim owładnęły, gdy usłyszał ostatnie słowa wypowiedziane przez oficera. W tej chwili wydawało mu się, że przyszłość, dotąd okryta ciemnościami, rozświetliła się przed jego oczami i że sekret tej przyszłości wybiegnie z ust nieznajomego, którego przypadek z nim zetknął.

– Och, więc jest pan Francuzem? – zapytał głosem, w którym w każdej innej okoliczności jego rozmówca zauważyłby nagłą zmianę.

– Tak – potwierdził oficer skinieniem głowy i uśmiechnął się.

– Rozumiem – dodał – że dziwi to pana, iż będąc Francuzem, służę w Kompanii Indyjskiej. Proszę wybaczyć, ale jest to rodzinna tajemnica, której nie mogę wyjawiać.

Rocambole odpowiedział dwuznacznym gestem, który zdawał się świadczyć zarówno o jego ciekawości, jak i chęci trzymania się jednak granic dyskrecji.

ze sobą i bardzo zróżnicowanych; m.in.: chryzofity, klejnotki, zielenice, ramienice, brunatnice, krasnorosty; wielkość od jednokomórkowych, mikroskopowych do wielosetmetrowych; mają bardzo duże znaczenie biologiczne, produkują bowiem we wszystkich morzach świata prawie jedną trzecią część całej roślinnej biomasy.



Młody marynarz uklonił się uprzejmie i wziął ponownie lunetę z jego rąk.

– Przepraszam – powiedział – ale na chwilę zostawię pana, by pójść do mojej kabiny. Mam tam dokumenty, które chcę uratować w razie rozbicia statku, jeśli do tego dojdzie. To papiery, które zamknę w etui z ocynowanej blachy i w razie potrzeby rzucę się z nim w pław w morze!

Rocambole odklonił się i pozwolił mu odejść, ale od tego momentu nasz bohater miał tylko jedną żarliwą myśl, jedno pragnienie, jeden cel: trzymać się marynarza, zyskać jego zaufanie, wydrzeć mu jego tajemnicę i być może...

Ostatnie słowo projektów Rocambole'a było tak bardzo nieokreślone, tak jeszcze zaciemnione, że nie śmiał go wypowiedzieć, ale przypomniał mu się sir Williams, flegmatyczny i bezlitosny sir Williams, który niegdyś często mu powtarzał: „Życie jest polem bitwy, na którym, by zwyciężyć, niezbędne są pewne ofiary. Rozumny człowiek zawsze pociesza się, myśląc że ludność świata jest ciągle olbrzymia i nigdy jej nie zabraknie”.

Rocambole, obojętny na wszystko, co się wokół niego działo, całą godzinę chodził po pokładzie, pogrążony myślach.

– Francuz... – szeptał do siebie – w służbie Kompanii Indyjskiej... Opuścił Paryż w wieku dziesięciu lat... Jako chłopiec okrętowy! Nie ulega wątpliwości, że jest to syn tej markizy, o której wspomniał sir Williams w swoim notesie cztery lata temu...

Rocambole, trawiony żarliwymi i mrocznymi myślami, nie dostrzegał złowróżbnej prawdy przepowiedzianej przez żeglarza. Faktycznie, ten mały szarawy punkcik, ten obłoczek na horyzoncie, zaledwie widziany jeszcze przed godziną przez lunetę, rósł szybko.

Najpierw rozciągnął się poziomo jak półkolistą opaską, po czym coraz bardziej obejmował niebo, na którym jeszcze przed chwilą błyszczał piękny księżyc; następnie po jego bokach, które z minuty na minutę przybierały gigantyczne proporcje, pokazały się inne chmury o miedzianej barwie oraz zmieniających się kształtach i nagle księżyc zniknął... Jednocześnie nad falami przeleciał podmuch wiatru, najpierw słaby, potem coraz potężniejszy, uderzył w maszty statku, powodując ich głuche trzeszczenie.



– Zaczyna się uderzenie, a my tu jesteśmy, do pioruna! – krzyknął jeden z majtków.

Ten okrzyk wyrwał Rocambole'a z rozmyślań. Rozejrzawszy się, spostrzegł zbliżającą się burzę i zrozumiał, że pasażerowie mieli pełne prawo być przerażeni, gdy tymczasem zahartowana załoga okazywała jedynie zatroskanie. Po tej rozświetlonej, usianej gwiazdami nocy, kiedy światło księżyca pozwalało dostrzec na pokładzie statku jak w białym dniu każdy szczegół manewrów, nastały ciemności... Pośród nich, zaledwie rozpraszanych tu i tam przez latarnie na rufie lub przy głównym maszcie rozlegał się przenikliwy, władczy głos kapitana, stojącego na stanowisku wachtowym, jęki kilku kobiet ogarniętych strachem i dominujący nad wszystkimi tymi odgłosami potężny głos huraganu, który podniósł się w dali i pędził hałaśliwie i złowrogo po grzbietach fal, które zaczęły się podnosić i pokrywać białą pianą.

– Do diabła! – powiedział Rocambole. – Jak się wydaje, zapewne jutro nie dopłyniemy do Hawru.

– Proś Boga, panie – rozległ się jakiś głos – abyś jutro był na tym świecie, a osiągniesz, jeśli On cię usłyszy, raczej dobry wynik.

Rocambole, odwróciwszy się, spostrzegł stojącego za nim młodego oficera Kompanii Indyjskiej,

Ściągnął swoją marynarską kapotę i miał na sobie wełnianą koszulę, płócienne spodnie i kaszkiet oficera. Jedyne z łańcucha na piersiach zwisało etui z ocynowanej blachy, jakie noszą marynarze lub żołnierze na urlopie. Do tego jego talię otaczał pas i Rocambole zobaczył wyłaniające się z niego lśniące kolby dwóch pistoletów i rzeźbioną rękojeść indyjskiego sztyletu.

– Oto mój strój morski – rzekł do Rocambole'a. – Jeśli trzeba będzie rzucić się do wody, mój bagaż nie sprawi mi zbyt wielkiego kłopotu.

– Och, myślę, że to niepotrzebne ostrożności – dodał Rocambole. – Rozbicie statku nie jest tak bliskie, jak się pan spodziewa...

– Zapomina pan, że jesteśmy w kanale La Manche, jakieś dziesięć mil od brzegu, że gwałtowny wiatr może nas zepchnąć na podwodną skałę, w którą może uderzyć statek i się roztrzaskać. Widzi pan z jaką szaloną prędkością, mimo zwiniętych żagli, pędzi z północy ku południowi? Posłuchaj tylko kapitana, starego wilka morskiego, posłuchaj jego komend nakazujących ekstremalne manewry, co wskazuje na to, że niebezpieczeństwo jest bardzo wielkie i bliskie.



Gdy żeglarz skończył z tym chłodnym entuzjazmem, tym podziwem człowieka, który przez całe życie był kołyszany przez sztorm, rozległ się okrzyk: „Zrąbać grotmaszt!²⁷”. Główny maszt zwałił się pod toporem i z ponurym hukiem upadł na pokład. Niemal w tej samej chwili obserwator siedzący w bocianim gnieździe²⁸ zawołał z przerażeniem: „Ziemia! Ziemia!”.

Rocambole nie wahał się dłużej.



²⁷ *Grotmaszt* – główny maszt na statku.

²⁸ *Bocianie gniazdo* – platforma lub kosz umieszczony w górnej części najwyższego masztu (zwykle grotmasztu); na dawnych statkach pełniło funkcję pozycji obserwacyjnej.



Rozdział II

Rozbitkowie



Jak powiedzieliśmy, kiedy Rocambole zobaczył, że statek nieuchronnie zostanie rzucony na brzeg, wszystkie jego wątpliwości zniknęły. Porzucił swojego młodego towarzysza, opuścił pokład, przewracając wszystko na swojej drodze i zbiegł do swojej kabiny, której drzwi wyważył, by szybciej się do niej dostać.

Zabrał ze sobą to wszystko, co było najcenniejsze, a więc najpierw bezcenny notes sir Williamsa, następnie portfel wraz z dokumentami dotyczącymi wypłacania renty, wreszcie sakiewkę, którą przymocował do pasa.

Pozbył się części odzieży, pozostawiwszy na sobie tylko koszulę oraz pantaloney, i powrócił na pokład. Starał się nie tracić z oczu młodego oficera Kompanii Indyjskiej.

Na pokładzie statku panował zamęt nie do opisania, chaos i trwoga. Nawet sam kapitan zaczynał tracić głowę.

Statek, popychany przez wicher z szaloną prędkością, pędził po grzbietach fal jak wściekły pozbawiony wędzidla wierzchowiec.

Rocambole podszedł do jednego z marynarzy.

– To już koniec! – zawołał ten marynarz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Za godzinę, może wcześniej, statek pójdzie na dno!

Wyciągnął rękę ku południowi, gdzie skrawek nieba był trochę jaśniejszy.

– Patrz – powiedział – tam jest ziemia... może o jakieś dwie lub trzy mile stąd. Żaden manewr od tej chwili nie powstrzyma pędu naszego statku, a wybrzeże, ku któremu zdążamy, jest otoczone rafami, których wierzchołki zaledwie wystają z wody i na których bez wątpienia się rozbijemy.

Młody marynarz nie dokończył... Nastąpił straszliwy wstrząs, któremu towarzyszyły głośnie okrzyki rozpacz i trwogi. Statek wpadł na skałę.

– Do wody! Do wody!

– Szalupy na morze!

Takie były dwa okrzyki, które natychmiast się rozległy.

Rocambole i jego przypadkowy towarzysz skoczyli już jednak do wody i płynęli obok siebie.

„Ocalimy się razem lub zginiemy razem – myślał Rocambole, który wybornie pływał. – W każdym razie nie pozostawię mego markiza!”.

Płynęli w ten sposób około godziny, wśród głębokich ciemności, walcząc z falami i słysząc dobiegające rozpaczliwe krzyki załogi i pasażerów, rzucających się jeden przez drugiego w wodę ze statku. Mimo że był dobrym pływakiem, Rocambole wkrótce zaczął odczuwać zmęczenie.

– Jesteś zmęczony? – krzyknął do niego młody oficer, który wydawał się płynąć wolniej.

– Tak, tak – odpowiedział Rocambole.

– Odwagi! Jeszcze trochę wysiłku. Jesteśmy zaledwie kilka sążni²⁹ od czarnej masy, która wydaje się pojawiać i znikać pod falami, zależnie od tego, czy fale podnoszą się, czy opadają.

– Czyżby było to wybrzeże? – spytał Rocambole, coraz bardziej opadając z sił.

– Nie, lecz skała lub wysepka, na której odpoczniemy!

Podczas gdy oficer to mówił, Rocambole mruknął do siebie:

– Naprzód, mój dobry człowieku, nie wolno ci utonąć jak jakiś imbecyl ze statku tuż przed przybyciem do portu. Pomyśl, że możesz zrobić coś lepszego niż pójść spać w wodnych głębinach... Możesz zostać markizem!

Ta ostatnia myśl spowodowała, że Rocambole przepłynął jeszcze kilka sążni, ale był to jego ostatni wysilek. Pomimo energii moralnej poczuł jak jedna po drugiej sztywnieją mu kończyny, a potem zamknęły się jego oczy...

Krzyknął, zaczął się pograżać i znikać pod falami, kiedy młody marynarz, ciągle jeszcze w pełni sił i wigoru, usłyszawszy rozpaczliwy okrzyk, podpłynął do niego i pociągnął go za włosy.

²⁹ Sążeń – miara długości równająca się długości rozstawionych ramion, także miara używana przy pomiarach głębokości wód; we Francji rozróżniało się sążeń (*toise*) jako miarę długości, wynoszącą 1,95 m, oraz sążeń morski, nazywany *brasse*, równający się 1,63 m; sążeń angielski (*fathom*) wynosi 1,83 m; za pomocą tych dwóch miar określano głębokość wód; autor użył w tym miejscu wyrazu *brasse*.



Rocambole i jego przypadkowy towarzysz skoczyli już jednak do wody i płynęli obok siebie.

[Kup książkę](#)

Rocambole jednak był już nieprzytomny.

Kiedy Rocambole doszedł do siebie, jego zdziwione oczy ujrzały błyszczące światło słoneczne. Po ciemnościach nastąpiła jasność, po burzy spokój...

Nie walczył więcej ze śmiercią, nie usiłował się już – jak przedtem – wyrwać z przepastnej paszczy oceanu. Nie, Rocambole leżał na drobnym piasku. Uniósłszy się z trudnością, spostrzegł, że znajdował się na skale, na pełnym morzu... Sam! Jak się tu dostał? Z początku nie potrafił przywołać wspomnień, jednak wkrótce zaczął sobie przypominać... Przywołał wspomnienia tego, jak przez kilka godzin energicznie walczył ze śmiercią, płynąc tuż obok młodego oficera marynarki, jak potem powoli zaczynało mu ubywać sił, które w końcu go opuściły, jak sądził, że umiera, wydaje ostatni okrzyk, zamyka oczy, jak poczuł, że jego głowa znika pod falami i jak zaczyna zupełnie tracić świadomość.

Więcej Rocambole nie zdołał sobie przypomnieć, jedynie oprócz tego, iż w ostatniej chwili, gdy już tonął, ktoś silnie ciągnął go za włosy. To było jego ostatnie wspomnienie... Nagle wszystko zrozumiał. To jego przypadkowy towarzysz, będący wyśmienitym pływakiem, uratował go i zdołał złożyć na tej skale. Co się z nim stało? Czyżby dalej popłynął ku stałemu lądowi? Rocambole bał się przez chwilę, nie dlatego, że był przerażony, iż znalazł się sam na wysepce na oceanie, ale dlatego, że wraz z życiem powróciły mu ambitne i dzikie instynkty. Cudem uniknąwszy śmierci, Rocambole już wracał do marzeń o ambitnych celach i przyszłości, a te marzenia opierały się na człowieku, który go ocalił. Jeśli młody marynarz zaginął, to Rocambole utracił tę przewodnią nić, która – jak zuchwale sobie wyobrażał – miała mu na nowo otworzyć podwoje paryskiego świata.

Wstał z trudem, ponieważ był złamany zmęczeniem i obtłuczony przez szorstkie krawędzie rafy tuż przy poziomie wody, z którymi wiele razy musiał się zderzyć, kiedy jego wybawca ciągnął go ze zmiłonego. Kiedy jednak już wstał, był w stanie chodzić i zrobić kilka kroków, by dokładnie rozpoznać miejsce, w którym się znajdował.

Była to wysepka mająca około ćwierć mili w obwodzie, w niedużej odległości od stałego lądu, który można było dostrzec na horyzoncie,



odcinającego się na tle niebieskiego nieba jak wąska opaska mgieł. Wysepka była pozbawiona wszelkiej roślinności, a jej brzegi pokryte były mięczakami i małżami. Kilka ptaków morskich, mew i kormoranów, wirowało powyżej w niezmierzonym lazurze nieba.

Rocambole obszedł wysepkę, rozpoznając z rozpaczą, że jest opuszczona, i był przekonany, że jego towarzysz niedoli zdołał dotrzeć do lądu, kiedy na widok błyszczącego w słońcu przedmiotu wyrwał się mu okrzyk zaskoczenia i radości. To było etui z ocynowanej blachy, bez wątplenia to, w którym młody oficer Kompanii Indyjskiej zamknął swoje papiery. Oprócz tego Rocambole zobaczył również inne przedmioty leżące na piasku. Były to pistolety, które marynarz miał za pasem, skacząc do wody, i sam pas. Oczywiście towarzysz Rocambole'a nie porzucił tego dobrowolnie, więc powróciła nadzieja na to, że nie opuścił wysepki i prawdopodobnie spał w jakimś założymie skalnym.

Rocambole ruszył dalej, kontynuując swoje poszukiwania.

Nagle dał się słyszeć jakiś obcy dźwięk, różniący się od odgłosów morza. Dotarł – najpierw słaby, potem wyraźniejszy – do uszu nowego Robinsona. Był to ludzki głos wołający o pomoc.

Rocambole pobiegł w stronę miejsca, z którego dobiegał krzyk, i dostrzegł wtedy rodzaj głębokiej szczeliny, skąd dochodziło wołanie, jakie wcześniej usłyszał. To tam wpadł młody oficer. Rocambole, podsunąwszy się na brzeg szczeliny, zobaczył, że ma osiem stóp³⁰ głębokości i tworzyła ona rodzaj okrągłej jamy o pionowych ścianach, pozbawionych jakichkolwiek nierówności.

– Ach! – zawołał oficer, dostrzegłszy Rocambole'a pojawiającego się na brzegu tej miniaturowej przepaści. – W końcu mnie usłyszałeś?

– Tak – odrzekł Rocambole. – Tak, mój wybawco, i teraz z kolei ja mogę...

Przerwał, by uważnie zbadać miejsce, w którym znajdował się rozbitek. Była to jedna z owych rozpadlin, jakie morze często drąży w skałach, o które bije nieustannie swoimi falami. Niewielka ilość mchu pokrywała wąski otwór, przez co marynarz wpadł do niego, próbując okrążyć wysepkę i poszukać na horyzoncie jakiegokolwiek żagla.

³⁰ Stopa – jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich, równa 30,48 cm; stopa francuska wynosiła 32,48 cm.



*Kiedy Rocambole doszedł do siebie, jego zdziwione oczy
ujrzały błyszczące światło słoneczne.*

Następnie, ponieważ dziura miała kształt odwróconego lejka, zatem była szersza u dołu niż przy wlocie, młody człowiek na próżno próbował się z niej wydostać i tylko niepotrzebnie poharatał sobie kolana, ręce i paznokcie, ślizgające się po gładkiej skale.

„Ho! ho! – pomyślał Rocambole. – Czyżby przypadek był moim niewolnikiem?”

– Dziś rano – powiedział jego towarzysz – dostrzegłem jakiś okręt na morzu. Spałeś wówczas, wyczerpany, a ja leżałem tuż przy tobie. Ujrzawszy statek, zacząłem biec, krzyczeć i wymachiwać rękoma. Spiesząc się, aby dotrzeć na kraniec tej rafy, którą statek zdawał się chcieć opłynąć, źle stanąłem nogą i wpadłem do tej dziury, gdzie z pewnością umarłbym z głodu, gdybyś mnie nie słyszał...

– Na szczęście tu jestem – odparł Rocambole – ale powiedz mi, jak mam cię stąd wyciągnąć? Jeżeli wskoczę do dziury, nie będziemy mogli wyjść ani ty, ani ja, a po drugie obawiam się, że jestem jeszcze zbyt słaby, by móc się pochylić, wyciągnąć do ciebie rękę i podnieść cię do góry na sam skraj otworu.

– Dwadzieścia kroków od miejsca, w którym cię tej nocy złożyłem – powiedział młodzieniec – znajdziesz moje pistolety, a przy nich pas i etui z dokumentami. Pas jest zrobiony z wełny kozy tybetańskiej³¹. Ma osiem stóp długości i pięć razy mogę owinać nim moje ciało. Jest bardzo mocny i na pewno się nie zerwie.

– Idę go poszukać – powiedział Rocambole, któremu w tej chwili przyszła do głowy piekielna myśl.

– Rzucisz mi jeden koniec – dodał młodzieniec – a drugi postarasz się umocować poza dziurą, za załomem skalnym.

– Tak, tak, już biegnę!

Rocambole zniknął. Niestety, wyobrażał sobie tylko, iż może biec. Mimo że czuł się bardzo słaby i wycieńczony, dążył jednak tak szybko, jak tylko potrafił, w kierunku miejsca wskazanego przez marynarza, gdzie istotnie odnalazł wspomniane przedmioty. Podczas tej drogi prowadził głębokie rozmyślenia.

„Oczywiście, jeśli nie wyciągnę stamtąd mego człowieka, on sam nigdy się nie wydostanie. Oczywiście do tej skały rzadko przybijają

³¹ *Koza tybetańska* – inna nazwa kozy kaszmirskiej, z której wełny produkuje się kaszmir.



łodzie rybackie, jeśli w ogóle to robią. Gdybym w tej chwili był wystarczająco silny, by odpłynąć wpław i dotrzeć do łądu z blaszanym etui, przed dwudziestoma czterema godzinami mógłbym zostać markizem, poważnym markizem z dobrymi pergaminami i siedemdziesięcioma pięcioma tysięcy liwrow rocznej renty... W końcu to nie ja wrzuciłem tego młodzieńca do dziury i nie ja jestem zobowiązany do wyciągnięcia go z niej... Poza tym sam jestem tak słaby, że znowu zemdlałabym, idąc po pas z koziej sierści... Dalej, Rocambole, mój przyjacielu, nie oszukuj się, proszę, i skoro pojawia się okazja, by stać się prawdziwym markizem, skorzystaj z tego bez skrupułów. To prawda, że ten biedny markiz bez nazwiska nie pozwolił mi utonąć tej nocy, że bez niego służyłbym już morświnowi za obiad; na pewno na moim miejscu jakiś filantrop dołożyłby wszelkich starań, aby wydobyć swojego wybawcę z kłopotów... Ale ja jestem filozofem i jestem przekonany, że Opatrzność miała swoje sekretne plany, wzywając tego młodego człowieka, aby mnie uratował. Niewątpliwie chciała uczynić z niego świętego i dodać jego imię listy męczenników”.

Po tej bezbożnej refleksji Rocambole siadł na piasku, tuż obok rzeczy, które młody marynarz zostawił na chwilę, by móc szybciej biec. Następnie wziął etui, otworzył, wyłożył wszystkie dokumenty, które się w nim znajdowały, i spokojnie, z wielką uwagą, zaczął je kolejno przeglądać. Pierwszym dokumentem, jaki mu wpadł w oczy, był patent na porucznika marynarki w służbie Kompanii Indyjskiej, wydany na nazwisko Albert-Frédéric-Honoré de Chamery, urodzonego w Paryżu piętnastego lipca 18... roku, który skończył dwadzieścia osiem lat.

„Wybornie – pomyślał Rocambole, po zapoznaniu się z tym dokumentem. – Wiem teraz, że nazywam się Frédéric de Chamery i służyłem w Indiach. Patrzmy dalej”.

Natychmiast uwagę Rocambole’a przyciągnął list, którego adres na kopercie był napisany drobnym wyciągniętym pismem zdradzającym kobiecą rękę. Zaczynał się od słów: „Najdroższy synu”, a kończył podpisem „Markiza de Chamery”.

– Słowo honoru! – szepnął zuchwały awanturnik. – Sir Williams nie kłamał w swoich notatkach. Moja matka rzeczywiście jest markizą.

Po czym odczytał widniejący na dole listu adres:



Ulica Vanneau, nr 27, w moim pałacu.

– Do licha! – ciągnął. – Sir Williams niepotrzebnie zadawał sobie trud, zapisując nazwiska i numery w nieznanym mi języku.

Teraz Rocambole zaczął odczytywać list matki do syna.

Markiza de Chamery pisała do młodego porucznika marynarki:

Drogi synu, szesnaście lat upływa od chwili, w której zostałeś mi zabrany i dopiero wczoraj, przy śmiertelnym łóżu twego ojca dowiedziałam się, co się z Tobą stało. Markiz de Chamery umarł dziś w nocy, błagając, abym po całym świecie szukała Cię, ja, która sądziłam, że już nie żyjesz, i opłakiwałam Cię przez szesnaście lat.

Adresuję list ten do angielskiej Admiralicji³² w nadziei, że wcześniej czy później dojdzie do Twoich rąk i przybędziesz rzucić się w ramiona swej matki i siostry według woli Twego ojca, który w ostatniej chwili życia żałował niesprawiedliwego względem Ciebie okrucieństwa. Dopiero w tej ostatniej chwili życia dowiedziałam się, moje kochane dziecko, o dziwnym zachowaniu Twego ojca. Szesnaście lat przeżył markiz de Chamery w małym pokoiku, pod strychem w pałacu, nie mówiąc do mnie ani jednego słowa i wypłacając mi przez intendenta roczną pensję stu luidorów³³. Moje łzy, moje modlitwy nigdy nie zdołały pokonać jego milczenia i na próżno, aż do jego ostatniego dnia, wypytywałam go, co było motywem takiego niezwyklego trybu życia.

Podczas szesnastu lat pan de Chamery i ja w oczach całego świata uchodziliśmy za szczęśliwe małżeństwo, ale w życiu prywatnym nigdy nie zamieniliśmy żadnego słowa, nigdy markiz nie pocałował w czoło Twojej siostry.

Twoja siostra i ja długo uważaliśmy go za obłąkanego... Niestety, wczoraj poznaliśmy jego straszliwą tajemnicę. Ten sekret, moje drogie dziecko, przedstawia się następująco:

³² Admiralicja – w Wielkiej Brytanii do 1964 roku departament rządowy sprawujący funkcje ministerstwa marynarki wojennej.

³³ Luidor – dawna moneta francuska bita od 1640 roku do reformy monetarnej w 1792 roku, później określenie 20 franków.



Markiz de Chamery, Twój ojciec, trzydzieści lat temu nie posiadał nic więcej oprócz tysiąca ecu³⁴ rocznej renty i epolety³⁵ pułkownika huzarów³⁶. Był on moim dalekim kuzynem, ja również byłam bez majątku, ale kochaliśmy się i on mnie posłubił. Ty, drogi synu, byłeś pierwszym owocem naszej miłości. Miałeś pięć lat, kiedy sytuacja Twego ojca uległa niespodziewanej zmianie. Markiz de Chamery, jego kuzyn, głowa starszej gałęzi tego rodu, mający sto tysięcy liwrów renty, zginął w pojedynku. Markiz Hector de Chamery miał trzydzieści lat oraz dumny i zapalczywy charakter. Mając głowę wypełnioną luźnymi zasadami naszego stulecia, nisko cenił cnotę i honor kobiet. Będąc kawalerem bez obowiązków, mieszkał wraz ze swą matką, markizą de Chamery, która latem przebywała w zamku, zwanym Oranżeria, położonym w okolicach Blois³⁷.

Kilka lat po zawarciu naszego małżeństwa i kilka miesięcy przed śmiercią Hectora de Chamery, Twój ojciec miał wziąć udział w ekspedycji do Algieru, a by nie pozostawiać mnie w Paryżu samej, porucił mnie opiece jednej ze swych kuzynek, markizie de Chamery. Tym sposobem spędziłam w Oranżerii koniec lata i całą jesień 1830 roku. Hector de Chamery zapalał do mnie szaloną namiętnością, równie gwałtowną, co występna i jedynie dzięki prawdziwej miłości do Twego ojca byłam zdolna oprzeć się obsesjom i prześladowaniom markiza. Na szczęście, mój drogi synu, Twój ojciec powrócił, gdyż rewolucja lipcowa³⁸ nie pozwalała mu na dalszą służbę. Podał się do dymisji, ponieważ

³⁴ Ecu (fr. écu) – srebrna moneta bita od 1641 roku, francuski odpowiednik talara; jej wartość w opisywanym okresie utrzymywała się na wysokości 3 liwrów.

³⁵ Epolety – naramienniki przy mundurach niektórych armii, o zaokrąglonych zewnętrznych brzegach i ze złotymi lub srebrnymi dodatkami, np. frędzlami, wskazującą na szarżę.

³⁶ Huzarzy – lekka jazda węgierska, powstała w XVI wieku z chorągwi raców po odrzuceniu kopii i tarcz; charakterystycznym ubiorem huzarów była zarzucona na ramię kurtka, zwana dolmanem; huzarzy w XVIII wieku stanowili znaczną część lekkiej kawalerii, także w innych krajach.

³⁷ Blois – miejscowość i gmina we Francji, w Regionie Centralnym, w departamencie Loir-et-Cher nad rzeką Loarą; Blois było przez wiele wieków siedzibą królewską.

³⁸ Rewolucja lipcowa 1830 we Francji, zwana Les Trois Glorieuses [fr. 'trzy dni chwały'] – rewolucja francuska trwająca od 27 do 29 VII 1830 roku, w wyniku której został obalony Karol X i usunięto z tronu główną linię Burbonów.

chciał pozostać wierny królewskiemu sztandarowi. Przybył do Oranżerii wieczorem i ściskając mnie, powiedział:

– Moja najdroższa, choć jesteście biedni, nawet bardzo biedni, musimy dać wykształcenie naszemu synowi. Nie będziesz się wstydziła swego męża, kiedy się dowiesz, że przyjąłem stanowisko w przemyśle. Zostałem zarządcą jednej z kopalń metali w Wogezach³⁹.

– Udam się tam, gdzie zechcesz – odpowiedziałam z radością.

Nazajutrz opuściliśmy Oranżerię ku wielkiej rozpaczy markiza Hectora de Chamery, który jeszcze dwa dni wcześniej oświadczył, że się zastrzeli. Trzy miesiące później, kiedy Twój ojciec i ja już żyliśmy w miasteczku w Wogezach, markiz w wyniku sprzeczki na bulwarze w Paryżu pojedynekował się, szpada przebiła mu płuco i umarł po tygodniu okropnych cierpień.

Zdażył jednak sporządzić testament, a w nim ustanowił Twego ojca jedynym spadkobiercą uniwersalnym⁴⁰, na niekorzyść swej nieślubnej siostry, o istnieniu której dopiero wczoraj się dowiedziałam. Wspominam Ci o niej dlatego, abyś mógł ocenić obrzydliwe postępowanie starej markizy de Chamery.

Pani de Chamery, zostawszy wdową w wieku dwudziestu siedmiu lat, nie mając wówczas innych dzieci oprócz trzyletniego Hectora, nie wyszła powtórnie za mąż, bowiem klauzula w testamencie jej zmarłego małżonka pozbawiała ją w takim przypadku opieki, jak też posiadania połowy majątku jej syna.

Niestety jednak markiza popełniła występki. Piękne dziewczątko początkowo było wychowywane w tajemnicy, a następnie przywiezione do zamku Oranżeria jako sierota, po jakiejś zmarłej dalekiej krewnej, prędko pozyskało całą miłość markizy, gdy tymczasem Hector de Chamery, znający tajemnicę matki, pałał do tego nieślubnego dziecka nieubłaganą nienawiścią. Tak więc markiz Hector de Chamery, czyniąc Twojego ojca swoim spadkobiercą uniwersalnym, ze szkodą dla swojej

³⁹ Wogezy – zrębowe góry we wschodniej Francji, oddzielone Bramą Burgundzką od gór Jura; stromo opadają ku Nizinie Górnoreńskiej; najwyższy szczyt Grand Ballon, 1423 m.

⁴⁰ Spadkobierca uniwersalny – taki spadkobierca, który przejął prawa i obowiązki, jakie przysługiwały spadkodawcy.

naturalnej siostry, wzniecił przeciwko nam burzę nienawiści w sercu swojej matki.

Zrozumiesz teraz, moje drogie dziecko, okrutną zemstę tej kobiety. Los zrządził, że po trzech miesiącach po śmierci markiza przyszła na świat Twoja siostra.

Pięć lat później – miałeś wówczas dziesięć lat – wdowa de Chamery zmarła w swym zamku Oranżeria.

Twój ojciec, zostawszy markizem de Chamery, niezwłocznie pojechał, by oddać jej ostatnią posługę, a zarazem wejść w posiadanie tej części majątku, którą Hector de Chamery zostawił do dyspozycji swojej matce.

– Do kroćset! – zawołał Rocambole, przerywając czytanie. – Jakaż to zajmująca, wspaniała historia! Czytajmy dalej!



Rozdział III

Tajemnica rodziny



Moje drogie dziecko, Twego ojca już od tygodnia nie było w Paryżu, kiedy porwano Cię pewnego wieczora. Jak? Kto to zrobił? Długo pozostawało to dla mnie tajemnicą i cały czas uważałam Cię za zmarłego. Miałeś wówczas dziesięć lat. Chciałeś być traktowany jak dorosły i spełniając Twe zachcianki, pozwolono Ci nawet spać samemu w Twoim pokoju znajdującym się na parterze pałacu.

Jednego ranka służący, który miał polecone codziennie Cię budzić o piątej rano do konnej jazdy, wszedł do Twego pokoiku i zastał go pustym. Zmięta pościel na łóżku świadczyła o tym, że w nim spałeś. Na próżno szukano Cię w ogrodzie, na próżno od dołu do góry przeszukano pałac.

Zrozpaczona, udałam się do prefekta policji. Przeszukano cały Paryż, by Cię znaleźć, lecz niczego się nie dowiedziano o Twym tajemniczym zniknięciu.

Napisałam do Twego ojca, powiadamiając go o tym strasznym nieszczęściu. Jego sucha odpowiedź mnie zatrwożyła. Z jego listu zaledwie przebijał cień rodzicielskiego żalu.

Gdy powrócił pod koniec miesiąca, spostrzegłam, przerażona, że miał całkiem siwe włosy i przypisałam tę okropną metamorfozę rozpaczcy ojca opłakującego swe dziecko.

Począwszy od tego dnia, dla Twojego ojca, drogi synu, zaczęła się ta milcząca, zaciekła egzystencja, pełna tajemnic i przerażenia dla nas, Twojej siostry i mnie. Od tamtej pory nigdy ze mną nie rozmawiał, nigdy nie całował Twojej siostry, nigdy nie wypowiedział Twojego imienia. Żył tak przez szesnaście lat.

Z początkiem minionego tygodnia jego zdrowie, i tak już silnie nadwątlone, zaczęło się pogarszać, co wywołało w nas żywy

niepokój. Trzeciego dnia położył się do łóżka i nie wstawał, zabraniając nam, Twojej siostrze i mnie, wchodzić do jego pokoju. Tymczasem wczoraj rano proboszcz kościoła Saint-Thomas-d'Aquin, który wypowiadał go i udzielił ostatniego namaszczenia, wyjednał, że mogę tam wejść.

– Marthe – powiedział wówczas Twój ojciec – przebaczyłem ci w ostatniej godzinie mego życia.

– Przebaczyłeś! – wykrzyknęłam. – Cóż takiego zrobiłam, panie?

W moim głosie było tyle zdziwienia, osłupienia i przerażenia, że Twój ojciec zauważył to i wyszeptał:

– Och mój Boże! A jeśli markiza skłamała!

Wówczas wyciągnął swą wychudłą rękę ku poduszce i wyjął spod niej pozótkły świstek papieru, który następnie mi podał. Ten świstek, moje dziecko, był to list, który stara markiza de Chamery zostawiła dla Twego ojca dwa dni przed jej śmiercią, a który Twój ojciec znalazł po przybyciu do zamku Oranżeria.

List ten był następującej treści:

Drogi kuzynie!

Hector ustanowił Cię swoim spadkobiercą uniwersalnym, a Tobie jako naiwnemu uczciwemu człowiekowi wydaje się całkiem naturalne, że młodsza gałąź rodu de Chamery zastępuje starszą gałąź, która gaśnie.

Uwierz, że nie to było powodem podyktowania testamentu przez mego zmarłego syna. On pragnął wydziedziczyć swoją siostrę Andree, tę dziewczynę mającą obecnie piętnaście lat, którą wychowuję jako daleką krewną, a która – teraz mogę ci się przyznać – jest moim własnym dzieckiem. Jestem przekonana, drogi kuzynie, iż uczynisz coś dla tego dziecka, któremu niestety pozostawiam jedynie swoje oszczędności, zwłaszcza kiedy się dowiesz, że Hector kochał twą żonę i to wcale nie Tobie, a swej córce pozostawił sto tysięcy liwrow renty.

Wdowa, markiza de Chamery

Rozumiesz, moje dziecko, jak piorunujące wrażenie musiał wywrzeć ten list na Twym ojcu. W jego oczach stałam się kobietą depcząca wszelkie obowiązki żony. Twoja siostra stała się dla

niego jedynie dzieckiem występku, którego urodzenie zbiegło się z moim pobytem u tej nikczemnicy, która jeszcze przed śmiercią postanowiła okryć mnie niesławą. Och, rozumiesz, że kiedy poznałam treść tego listu, na kolanach z rękoma wzniesionymi ku niebu błagałam Boga, aby zesłał temu nieszczęśliwemu starcowi promyk wiary, aby umarł, wierząc w moją niewinność... Nie wątpiłam Bóg mnie wysłuchał, bo sprawił, że w moim głosie, w moim geście, w moich oczach było tyle prawdy, że Twój ojciec już nie wątpił.

– Ach, daruj mi, przebacz! – szeptał.

Chwyliłam jego obie ręce, okryłam je pocałunkami, a on powiedział:

– Nie oplakuj więcej Twego syna, pani, gdyż Twój syn żyje. To ja porwałem go tamtej nocy, ponieważ zarazem chciałem... Przebacz mi, bardzo proszę, że uważałem cię za winną... Zarazem chciałem, by syn nigdy nie dowiedział się o występkach matki i by nigdy nie wszedł w posiadanie majątku, który w moich oczach pochodził z takiego nikczemnego źródła.

Wtedy, mój synu, Twój ojciec opowiedział mi szczegóły Twojego porwania. Kiedy sądziłam, że jest on w Oranżerii, on wszedł nocą do pałacu, wspomagany przez starego, oddanego mu sługę, zaskoczył Cię, kazał Ci wstać i udać się z nim do Hawru, gdzie wsiadł razem z Tobą na statek zdążający do Anglii. Teraz, moje drogie dziecko, piszę do Ciebie i błagam, byś jak najszybciej powrócił...

Zostałeś bez wątpienia wspianiałym oficerem i być może uważasz się za sierotę bez majątku. Och, wróć, synu. Twoja matka, która oplakiwała Cię przez szesnaście lat, wyciąga do Ciebie swe ręce!

Na tym kończył się list markizy Marthe de Chamery.

Rocambole położył go przy oficerskim patencie młodego markiza o nazwisku Albert-Frédéric-Honoré de Chamery i zabrał się do przeglądania innego dokumentu.

Tworzył go niewielki zeszyt mający około dziesięciu stron, pokryty ściśniętym, ale czytelnym pismem, prawdopodobnie młodego markiza.

Na początku pierwszej stronicy widniała data: *Bombaj, 18 marca*.
Zaś nieco niżej: *Dziennik pokładowy*.
Zapiski zaczynały się tak:

Za godzinę rozwijamy żagle i statek, na którego pokładzie jestem zwykłym pasażerem, wyrusza do Europy. Podróż potrwa pięć miesięcy. Po raz pierwszy będę próżnował na pokładzie, gdy jestem tylko pasażerem. Złożyłem dymisję z funkcji oficera marynarki Kompanii Indyjskiej w dniu, w którym dowiedziałem się, że mam jeszcze matkę i siostrę, a nadejście tego listu, który ukazał mi całe istnienie, które wydawało się być zarezerwowane dla mnie, nagle obudziło we mnie najodleglejsze wspomnienia z dzieciństwa.

Na morzu, 20 marca.

Mogłem mieć wtedy około dziesięciu lat. Mieszkaliśmy we wspinałym pałacu, gdzie był też ogród ze wspinałymi drzewami.

Spałem na parterze pałacu, w małym pokoju, którego okna wychodziły na ogród mający furtkę od strony ulicy de Lille.

Pewnej nocy, gdy mocno spałem, zbudziła mnie jakaś ręka, opierająca się o moje ramię. Otworzywszy oczy, poznałem mego ojca....!

Mego ojca nie było w Paryżu od kilku dni, a matka powiedziała mi, że powróci dopiero w przyszłym tygodniu. Byłem więc bardzo zdziwiony, widząc stojącego go przy moim wezglowiu.

To, co mnie jednak jeszcze bardziej zaskoczyło, to głęboki smutek, jaki malował się na jego twarzy.

Był bladym i poważnym, on, który zazwyczaj uśmiechał się do brotliwie. Wtedy zobaczyłem, że jest ubrany na czarno. Przyłożywszy palec do ust na znak milczenia, po chwili powiedział prawie szeptem:

– Ubierz się, mój synu.

Ruch, jaki wykonał, pozwolił mi zobaczyć stojącego za nim starego sługę rodziny, byłego żołnierza, od którego uczyłem się jazdy konnej.

Podobnie jak mój ojciec, był smutny i poważny.



Ustuchałem, ale ponieważ byłem rozespany, nie ubierałem się dość szybko i stary Antoine pomagał mi i owinął mnie w mój płaszcz. Wówczas ojciec wziął mnie za rękę.

– Chodź – powiedział do mnie.

Wyprowadził mnie z pokoju przez drzwi wychodzące na ogród, a zwracając się do Antoine, zapytał:

– Pamiętasz o mych rozkazach?

– Tak, panie – odparł Antoine.

Przeszliśmy przez ogród i dotarliśmy do furtki prowadzącej na ulicę de Lille.

Tam ojciec wyjął klucz i otworzył furtkę. Ogarnęło mnie zdziwienie, prawie strach. Nie wiedziałem gdzie prowadzi mnie ojciec, więc w końcu zapytałem:

– Tatusiu, gdzie się udajemy?

– W podróż! – odpowiedział.

– Z mamą?

Zobaczyłem, że po tym słowie poblądł.

– Nie – odpowiedział ostro – ty już nie masz matki!

Kiedy starałem się wyjaśnić sobie te złowieszcze słowa, wyprowadził mnie z ogrodu, a stary Antoine, który w nim pozostał, zamknął za nami furtkę.

Na ulicy znajdował się powóz pocztowy, który stał zaledwie o kilka kroków od ogrodzenia. Ojciec wsadził mnie do niego, usiadł przy mnie i krzyknął do pocztyliona:

– Ruszaj!

Powóz wyjechał z Paryża klusem, pędził całą noc i połowę następnego dnia, potem na godzinę zatrzymał się w jakimś zajezdzie, gdzie trochę zjedliśmy, a następnie znowu ruszył w drogę i pod wieczór dojechał do miasta położonego nad brzegiem morza, otoczonego lasem masztów statków.

– Jesteśmy w Hawrze – wyjaśnił mi ojciec.

Nocowaliśmy w hotelu położonym w porcie. Nazajutrz, podczas gdy jeszcze spałem, ojciec wyszedł. Powrócił po dwóch godzinach w towarzystwie człowieka noszącego czerwony uniform. Był to oficer angielskiej marynarki.

Wówczas ojciec posadził mnie na kolanach i powiedział:

– Moje dziecko, może mówiono ci, że jesteś bogaty, ale cię okłamano. Jesteś biedny i musisz uczciwie nosić nazwisko, jakie ci przekazałem. Powierzam cię temu panu. On zrobi z ciebie człowieka, dzielnego i porządnego oficera, jakim on sam jest. Pojedziesz wraz z nim.

– Ależ mama! – wykrzyknąłem.

– Twoja matka umarła! – odparł ze wściekłością w głosie.

Następnego dnia znalazłem się już na statku jako chłopiec okrętowy.

Tu kończyła się pierwsza notatka podróżna młodego markiza Alberta-Frédérica-Honoré de Chamery.

– Na razie – powiedział do siebie Rocambole – są to dokumenty, które wystarczą, aby ustalić, że markiza z notek sir Williamsa i ta de Chamery są jedną i tą samą osobą. A więc owym oczekiwanym, upragnionym synem, dziedziczącym siedemdziesiąt pięć tysięcy liwrow renty, jest on. Ech, ale wydaje mi się, że znajduje się w ładnej małej dziurze, z której wyjdzie tylko za moim pozwoleniem i z moją pomocą. Ba, ale ja nie jestem miłosiernym człowiekiem...!

Następnie spojrzał na morze, badając kolejno cztery strony świata. Morze znowu stało się spokojne, niebo było czyste, żaden żagiel nie ukazywał się na horyzoncie.

– Jest oczywiście – mówił dalej Rocambole – że w stanie wyczerpania i słabości, w jakim znajduje się ten biedny markiz de Chamery, jeśli nikt nie przyjdzie mu z pomocą, za kilka godzin umrze. Nie widzę żadnej łodzi ani statku, który miałby zamiar zbliżyć się do naszej niewielkiej rafy, a nawet jest prawdopodobne, że tylko przy złej pogodzie przybija tu jakaś rybacka łódka. Otóż pogoda dopisuje. A więc dopiero jutro albo za tydzień, albo nigdy, jakiś marynarz, spacerując po wysepce, odkryje ciało biedaka... To uwalnia mnie od popełnienia okropnego czynu, to znaczy zabicia tego biednego markiza de Chamery, którego życie wydaje mi się niepotrzebne.

Następnie Rocambole włożył wszystkie papiery młodego oficera z powrotem do blaszanego etui, przytroczył je do pasa, jak również pistolety i ten szalik, który – jak uważał nieszczęśnik – powinien stać się narzędziem jego ocalenia. Potem wspiął się na szczyt skały górującej nad morzem.

Na horyzoncie, w odległości jakichś dwóch mil, widać było wyraźnie francuską ziemię.

– Mam jeszcze porządną kawał drogi przed sobą – mruknął Rocambole – lecz teraz przychodzi mi na myśl Bougival i Machina Marly⁴¹. Poza tym, od kiedy nazywam się markiz de Chamery i jestem oficerem marynarki w służbie Kompanii Indyjskiej, muszę być dobrym pływakiem.

Wtedy Rocambole wziął rozpęd i rzucił się w morze z odwagą człowieka udającego się po tytuł markiza oraz siedemdziesiąt tysięcy liwrów renty.



⁴¹ *Bougival* – miejscowość i gmina we Francji, w regionie Île-de-France, w departamencie Yvelines, położona na lewym brzegu Sekwany, 20 km na zachód od Paryża; *Machina Marly* – gigantyczne urządzenie pompujące wodę z Sekwany potrzebną do zasilania zamku Marly i ogrodów w Wersalu (głównie fontann); transport odbywał się na długości 10 km, a woda była podnoszona na wysokość 133 m; wydarzenia z tymi miejscami można śledzić w I i II tomie cyklu „Rocambole”.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!

